



*A n n a  
D ą b r o w s k a*

*Czy można  
kochać chłopaka,  
który spadł  
z gwiazd?*

*Zanim*  
**ZNIKNĘ**

**LIRA**  
WYDAWNICTWO

*Zanim*  
**ZNIKNE**



*Anna Dąbrowska*

*Zanim*  
**ZNIKNĘ**

**L i R A**  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2018

ISBN: 978-83-65838-70-4

*Ludzie wydają się słabsi od aniołów,  
ale wciąż są na tyle silni,  
by przetrwać każdy sztorm życia.*

*Moim aniołkom, które kocham ponad życie  
— Natankowi i Emilkowi.  
Mam nadzieję, że w trudnych chwilach  
zawsze wybierzeć właściwą drogę życia.*



# ROZDZIAŁ 1

Dwa miesiące wcześniej

Bezskutecznie próbowałam dotknąć białych klawiszy. Byłam tak blisko zagrania dźwięku, który rozszedłby się po moim ciele ze zdwojoną mocą. Jakaś siła, która wypełniała przestrzeń między moimi palcami a klawiszami fortepianu, powstrzymywała mnie przed spacerem po biało-czarnej drodze liczącej równo osiemdziesiąt osiem stopni. Po raz pierwszy poczułam, że moje dłonie się trzęsą. Po raz pierwszy nie potrafiłam ujarzmić narastających nerwów. Po raz pierwszy wstałam i spojrzałam na wiele par oczu zwróconych na moją wątłą postać. Jakieś usta zaczynały szeptać, jakieś ciała — wiercić z niecierpliwością, a ja stałam i tylko patrzyłam...

Nie wiedziałam, jak wytłumaczyć to, co właśnie się stało. Żaden pianista nie ma prawa przerywać swojego utworu, kiedy wie, że dano mu tylko chwilę, by wydobyć dźwięk, który zaczaruje widownię. Postanowiłam, że dzisiaj nie zagram — ani dla siedzących ludzi, ani dla nikogo. Nigdy więcej. Razem z nim umarła muzyka, którą nosiłam w sobie. Razem z nim odeszło wszystko, co miało jakiś sens. Jeśli nie widziałam sensu, nie było dla mnie już nic. Tamta Wiktorija umarła, chociaż jej



imię oznaczało kogoś, kto był w stanie odnieść zwycięstwo. Niestety ja przegrałam. Postanowiłam nigdy więcej nie dotykać klawiszy fortepianu. Wraz ze śmiercią mojego ojca postanowiłam zamknąć się w krainie afonii.

Grzecznie ukloniłam się, jak to miałam zwyczaj czynić po oddanym utworze, i wyszłam z sali koncertowej. Stojący obok mnie wychowawca nie zapytał, dlaczego to zrobiłam; jakby przeczuwał, że tak właśnie będzie. Zapewne uznał, że potrzebowałam więcej czasu, by ochłonąć i zapomnieć o tragedii, która mnie dotknęła. Miał nadzieję, że wkrótce się otrząsnę i zagram jak niegdyś, ale moc we mnie zgasła. Zgasła tak nagle, jak gaśły wszystkie gwiazdy na niebie, kiedy zaczynało świtać. Byłam jedną z gwiazd, a moje życie stanowił brzask — bez ciemności i bez wyraźnie zaakcentowanego słońca. Być może trwanie w półmroku stanowiło najrozsądniejszy tryb życia. Nie potrafiłam się śmiać, bo moje serce wciąż płakało, chociaż nie płakałam kroplami wody, bo moje oczy pozostawały suche.

— Wika, dziecko drogie... — Za plecami usłyszałam delikatny głos matki.

Odrzuciłam się, by spojrzeć jej prosto w oczy.

— Tak, mammo? — zapytałam i poczułam, jak moja dolna warga zadrżała.

— To był jeden z najważniejszych dni w twoim życiu. Zaprzepaściłaś szansę na sukces...

Nie odpowiedziałam, odwróciłam się do niej plecami i poszłam przed siebie. Spuściłam głowę i cicho zakłamałam, niemal bezgłośnie. Nawet gdybym spróbowała wykrzyknąć mój ból, nikt by go nie usłyszał. Zwłaszcza moja mama, która zaczęła wieść nadto idealne życie, by pozwolić wpaść przez choćby najmniejszą lukę czemukolwiek, co nie było nieskazitelne. Tak bardzo pragnęłam, aby mnie przytuliła i powiedziała, że rozumie, jak bardzo mi źle. Nie chciałam, by mnie oceniała, lecz rozumiała. Nie chciałam, by wymagała, tylko zaproponowała przerwę na odpoczynek. Niestety. Nagle zostałam sama. Nie mogłam liczyć nawet na to, że ktoś zapyta: „Hej, o co chodzi?“, a ja wszystkim zaprzeczyłabym ruchem głowy, ale w głębi serca poczułabym iskrę nadziei, że dla kogoś moje błyszczące w oczach łzy były istotne. Chociaż przez chwilę...

— Wiktoria! — Za sobą usłyszałam męski głos, ale nie zamierzałam się zatrzymywać i ujawniać rozpacz. Wolałam iść, choćby donikąd...

Wydawało mi się, że wciąż słyszałam własne imię. A może niosło je echo, chociaż wydawało się to niemożliwe.

— Wiktoria!

Teraz miałam stuprocentową pewność, że nie miałam urojeń. Zaczęłam biec. Nie zamierzałam patrzeć wstecz. Chciałam zakończyć ten podły dzień i zapomnieć o wszystkim, co spotkało mnie w ostatnim czasie.

— Wiktoria...

Głos zaczął stapiać się z miejskim hałasem, odchodzić...

Nazywam się Wiktoria Braun. Moje nazwisko skojarzy się wszystkim wyłącznie z producentem wysokiej klasy elektrycznych szczoteczek do zębów, trymerów, prostownic do włosów i golarek. Przez tyle lat zdążyłam się przyzwyczaić do nagminnego pytania: „Ty jesteś od tych Braunów?”. Wypracowałam odpowiedź, która brzmiała: „Czuję, że jestem od tego Brauna grającego muzykę w stylu noise rock”. Chociaż to nie była prawda. Nie łączyły nas żadne więzy krwi, poza tym nie znosiłam takiego gatunku muzyki. Dla moich uszu była to czysta kakofonia, ale wołałam przynależeć do muzycznych Braunów niż do tych od sprzętów.

Kiedy skończyłam siedem lat, postanowiłam pójść do dwóch szkół, do dwóch pierwszych klas — w tym do muzycznej. Rodzice wiedzieli, że fascynowały mnie skrzypce. Z rozdziawionymi ustami obserwowałam w telewizji grającą Vanessę Mae i wyobrażałam sobie, jak by to było stać się nią chociażby na jeden dzień.

Kiedy znalazłam się w szkole muzycznej i przechadzałam między salami, wciąż przekonując rodziców, by mnie do niej zapisali, dostrzegłam stojący samotnie czarny fortepian. Odważyłam się wejść do pustego pomieszczenia tylko po to, by przyjrzeć się olbrzymiemu instrumentowi z bliska. Przejechałam palcami po

czarnej fakturze tego imponującego sprzętu i postanowiłam uczęszczać na lekcje fortepianu. Do dzisiejszego dnia nie wiem, czy był to zwykły impuls, czy podszept serca w wyborze muzycznego profilu. I w taki oto sposób oddałam muzyce klasycznej nie tylko swoje serce, ale większość dzieciństwa. Odkąd skończyłam osiem lat, w każdej wolnej chwili grałam. Odkąd dowiedziałam się o istnieniu Hammerklaviera, czyli drewnianego fortepianu młoteczkowego, którego struny były znacznie cieńsze od współczesnej wersji tego potężnego instrumentu, zapragnęłam go zobaczyć chociaż jeden raz w życiu. Pilnie uczyłam się sonaty romantycznej Beethovena, by móc kiedyś spróbować zagrać na fortepianie młoteczkowym i usłyszeć ten specyficzny dźwięk, który burzył krew w żyłach. Uwielbiałam w sonatach lekkość, adagiowe uciszenie ruchu i w końcu finałową fugę. Kochałam je za ich zmienność stanów muzyki. Raz dźwięk był zimnym sopłem lodu, a raz przemieniał swój stan skupienia i stawał się małą kałużą. Muzyka wywoływała rozmaite emocje — od refleksji po złość. Dotykałam palcami klawiszy i wydawało mi się, że jestem płatkim. Zamykałam oczy i zaczynałam grać, czując jednocześnie na ciele powiew wiatru. Grając, wzbijałam się coraz wyżej i wyżej, aż na samym końcu spadałam. Byłam tylko płatkim, który musiał w końcu opaść na ziemię. Otwierałam oczy i dostawałam gromkie brawa, kłaniałam się nisko i uśmiechałam. Fortepian był dla mnie wszystkim.

Był najszerszym uśmiechem, miarowym biciem serca i pierwszą myślą rankiem zaraz po przebudzeniu.

\* \* \*

Teraz

— Wika! Wika! Czy ty mnie słyszysz! — wołała mama, ale ja siedziałam na podłodze pustego pokoju, którego miałam już nigdy nie zobaczyć, i udawałam, że żadne słowo nie przedzierało się przez jego ściany. Potrzebowałam ostatniej chwili, by zabrać jak najwięcej wspomnień i ulokować je w kilku komórkach mózgu odpowiadających za wspomnienia.

Za chwilę na zawsze miałam opuścić rodzinny Kraków. Musiałam pożegnać się z liceum, szkołą muzyczną, nauczycielami, znajomymi i grobem taty. Nie chciałam wyjeżdżać, lecz nie pozostawiono mi wyboru. Mama podjęła decyzję za mnie. Nie pofatygowała się, by ze mną o tym porozmawiać. Powiedziała tylko, że za tydzień wyprowadzamy się nad morze. Nie pytałam dokąd, bo nie chciałam wiedzieć. Chciałam tu pozostać, wrosnąć w podłogę pokoju korzeniami. Jednak to było nierealne, bo klamka zapadła. Mogłam czuć tylko złość. Nienawidziłam matki, a jeszcze mocniej nienawidziłam jej narzeczonego — Piotra, który był zwykłym bufonem zakładającym codziennie krawat w innym kolorze.

— Wika! Czy ty kompletnie ogłuchłaś? — zapytała matka i bez pukania otworzyła drzwi.

Odwrociłam się, by na nią spojrzeć. Była bardzo podobna do mnie. Jej włosy miały kolor Inu, miętko otulały jasną twarz z wydatnymi policzkami. Jej wargi były wąskie, w kolorze dojrzałych malin, a oczy... Miałyśmy taki sam odcień zieleni — skąpanej w słońcu oliwki. Niektórzy uważali ten kolor za szarość pomieszaną z zielenią, bo najprościej było go tak zdefiniować. Lecz w promieniach słońca nasze tęczęwki zaczynały migotać jaśniejszym odcieniem zieleni. Kolor naszych oczu był niepowtarzalny, unikalny. Bardzo go lubiłam.

— Wróć tutaj. Za rok — wybuchnęłam, zaciskając palce w pięści. Coraz bardziej sprzeciwiałam się woli matki, bo broniłam swoich przekonań. Chciałam mieszkać w Krakowie, przetrwać ostatni rok liceum, zdać maturę i złożyć papiery na studia. Jeszcze nie miałam planów na przyszłość. Nie wiedziałam, w jakim kierunku powinnam się uczyć. Nie chciałam wierzyć, że to, co sobie zamarzyę, jest w stanie się spełnić.

Jakiś czas temu byłam zbyt naiwna i życie mnie poturbowało. Wierzyłam w ludzką dobroć i miłość. Dzisiaj postanowiłam nie wierzyć i nie ufać. Chciałam pozbyć się naiwności i pokazać innym, że sama mam prawo decydować o swoim losie.

— Zakochasz się w nadmorskim krajobrazie, zobaczysz... — odparła pogodnie matka. — Poznasz nowych

przyjaciół, zaznasz innego życia. Jestem pewna, że nigdy więcej nie powrócisz do Krakowa.

— A tata? — zapytałam i poczułam, jak kąciki oczu napełniły się łzami.

— Tata wolał odejść, Wika. Opuścił cię, więc ty masz prawo opuścić jego grób bez wyrzutów sumienia. Będziemy tu przyjeżdżać na Wszystkich Świętych i zapalać mu znicz.

Przymknęłam powieki, czując rozchodzący się po ciele ból. Nie rozumiałam oziębłości matki wobec mężczyzny, którego pokochała i z którym zdecydowała się stworzyć rodzinę. Nawet po jego śmierci zachowywała się uparcie i bezwzględnie. Czuła do ojca złość, a nie powinna. O zmarłych zawsze powinno się myśleć i mówić dobrze, bo umarły nie może się obronić. Zawsze pozostanie na straconej pozycji.

— Słyszysz, co mówisz? — zapytałam. — Twój mąż nie żyje, a ty zamieniasz się w rozkapryszoną nastolatkę... Często powtarzałaś mi, że w pewnych sytuacjach ja zachowywałam się dziecinnie, ale miałam do tego prawo. Byłam tylko dzieckiem. A ty? Jesteś dorosłą kobietą, matką, a reagujesz gorzej niż ja kilka lat wstecz...

Wstałam z podłogi. Poprawiłam luźną koszulkę, która opinała się na moich biodrach, i spojrzałam na matkę. Dostrzegłam jej rozdziawione usta i szeroko otwarte oczy. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła.

— Jestem gotowa. Idę do samochodu — oznajmiłam apatycznie, otworzyłam drzwi i wyszłam z mojego byłego pokoju.

Od czterech miesięcy tak wyglądały nasze rozmowy. Przeważnie kończyły się kłótnią, po której atmosfera w domu stawała się niezwykle napięta.

Mój świat zawałił się w dniu, kiedy mama zakomunikowała, że odchodzi od ojca. Nie wiedziałam jeszcze, że poznała innego mężczyznę, więc zamieszkałam razem z nią. To był największy błąd, jaki popełniłam. Gdybym została z tatą, może potrafiłabym mu pomóc. Może ojciec wciąż by żył...

\* \* \*

Siedziałam w samochodzie z podkulonymi nogami, czując, jak całe moje ciało zeszywniało. Mama wielokrotnie zwracała mi uwagę, bym nie trzymała obutych nóg na siedzeniu, gdyż jej partner gustował w drogich samochodach i mocno irytował go widok moich trampek na jasnej tapicerce.

— Mogłabyś bardziej szanować samochód Piotra — burczała.

Nie reagowałam, więc mama przyjmowała inną taktykę.

— Twój kręgosłup cierpi, kiedy trzymasz kolana podsunięte pod brodę. Zlituj się chociaż nad swoimi plecami — mówiła, na co od niechcenia zdejmowałam nogi z siedzenia i znowu zachowywałam się jak przykładna córka.



Zbyt długo pozwalałam sobą manipulować. Zbyt długo robiłam to, czego wymagali ode mnie inni. Tak naprawdę do tej pory nie zrobiłam niczego szalonego. Nie posmakowałam nawet piwa, nie zapaliłam papierosa, nigdy nie całowałam się z chłopakiem. Dwa lata temu podkochałam się w Michale, który grał na perkusji. Niby przypadkowo, ale często pojawiałam się nieopodal sali, w której ćwiczył, lecz on mnie nie zauważał. Jeśli nawet jakimś cudem spojrzął, to ujrzał wyrośniętego dzieciaka, a nie dziewczynę, którą chciałoby się zaprosić na randkę. Zresztą ubierałam się nadto dziecinnie, słuchając wskazówek mamy. Zawsze mi powtarzała, że na dorosłość nadejdzie odpowiedni czas.

Oderwałam głowę od zagłówka fotela. Miałam serdecznie dosyć przebytych czterystu kilometrów. Na pocieszenie usłyszałam, że pozostała nam tylko setka.

Mój tato nigdy nie prowadził samochodu w absolutnej ciszy. Czasami ustawiał radio na cały regulator, kiedy leciała rockowa piosenka, którą lubił. Wtedy śmiała się nawet mama. Brakowało mi tych czasów, a najgorsza była świadomość, że one nigdy nie powrócą. Idealna cisza zaczynała aż boleć. Ciekawe, czy nie uwierała uszu mamy... Nawet jeśli tak było, Alicja Braun nigdy by się do tego nie przyznała. Styl życia Piotra stał się jej stylem. Codziennie wnikał do jej krwiobiegu i wypłukiwał wszystko to, co mama miała w sobie nietuzinkowego. Uwielbiała słodyczne, zwłaszcza lody

o smaku słonego karmelu, ale dla swojego chłopaka stała się kobietą fit, która na sam widok mrożonych słodkości dostawała torsji. I dostawała je, a ja patrzyłam i wzdychałam lekko, nie potrafiąc się nadziwić temu, jak jeden człowiek może zmienić drugiego w tak szybkim czasie. Mama wyrzekła się także noszenia sportowych ubrań na rzecz krótkich miniówek i wydekoltowanych bluzek, które lubił Piotr. Właściwie cały świat Alicji kręcił się tylko wokół pana krawacika — często tak określałam Piotra.

— Wika! — zawołała niespodziewanie mama, oglądając się na tylne siedzenie. — Zobaczysz, jaki będziesz miała piękny pokój! — ekscytowała się.

Nie odpowiedziałam, tylko zadarłam kolana pod brodę, wiedząc, że Piotr zobaczył to w wewnętrznym lusterku.

\* \* \*

Otworzyłam oczy dopiero, gdy poczułam lekkie szarpnięcie i spokój. Szum silnika ucichł, więc upewniłam się, że nasza podróż dobiegła końca. Przetarłam opuszkami palców powieki i ziewnęłam ospale. Przez szybę zobaczyłam skaczącą z radości mamę, która zarzuciła swoje ręce na barki Piotra, by móc go pocałować. Złączenie ich warg trwało długo... za długo. Opuściłam wzrok i otworzyłam drzwi, pragnąc zaczerpnąć świeżego powietrza. Kiedy to zrobiłam, mama od razu oderwała się od swojego chłopaka i podbiegła do mnie. Złapała

mnie za dłoń i zaczęła delikatnie ciągnąć, chcąc nakłonić mnie do szybszego wyjścia z samochodu.

— Oj, ruszaj się prędzej! — ponaglała piskliwym głosem.

Nie miałam ochoty wysiadać i oglądać budynku, który miał stać się nowym domem.

— Witaj, nasz nowy domu! — zapiszczała z ekscytacją niczym małe dziecko, które ucieszyło się z otrzymanej zabawki. Tylko ta zabawka była niezwykle droga...

Wysłałam z samochodu i spojrzałam na budynek. Był duży i nowoczesny. Burzył moje wyobrażenie o miejscu, w którym powinno budować się rodzinne relacje. Na pierwszy rzut oka wiało od niego chłodem i sterylnością. Jak w takim miejscu można zaznać wyciszenia i ciepła?

Ukradkowo zerknęłam na twarz matki i ujrzałam na niej szczęście, jakie może zapewnić tylko bogactwo. Alicja Braun wydawała się kimś innym, kimś, kto dla wygodniejszego życia był w stanie poświęcić swoje dawniejsze przekonania. Nie pamiętała już o wspólnych chwilach spędzonych z moim tatą. Nie wspominała czasów, kiedy byli małżeństwem. Teraz w jej życiu królował bufoniasty prawnik i jego gruby portfel.

Mówi się, że pieniądze są tylko dodatkiem do życia, ale uważałam to stwierdzenie za poważne zakłamanie. Siła pieniądza wypierała wszelkie wartości w życiu. Niszczyła miłość, przyjaźń i szacunek dla cudzej, ciężkiej pracy. Gdy w grę wchodziło bogactwo, liczyły się tylko pozycja

i znajomości. Brakowało w tym wszystkim miejsca na szczerść, dobroć i bezinteresowność. Skoro życie było tak strasznie niesprawiedliwe, postanowiłam przestać być miłą i dobrą dla świata.

*Koniec z dawną Wiką* — obiecałam sobie, wchodząc do domu, który bardziej przypominał muzeum. Nie było w nim przepychu, lecz drogi minimalizm.

— Wika! — zawołała mama, klaszcząc w dłonie. — Powiedz coś... Podoba ci się?

Czy ten dom mógł się podobać? Komuś takiemu jak Alicja Braun zapewne tak, ale komuś takiemu jak ja, kto czuł złość do swojej matki i jej wybrańca, już nie.

— Powiedz coś, córciu — nalegała mama, kładąc zimną dłoń na moim ramieniu.

Dom był piękny, nadto luksusowy jak na mój gust i zapewne obrzydliwie drogi. Nie chciałam okazać nawet odrobiny zainteresowania nim, bo miałam zamiar ich ukarać. Zamienili moje życie w piekło. Ich romans popchnął mojego ojca w ramiona śmierci... Tego nie można wybaczyć i zapomnieć.

Przełknęłam ciężko ślinę, którą przetrzymywałam dobre dwie minuty w ustach, omal się nią nie krztuszając. Minęły cztery miesiące od jego śmierci, a ja wciąż odczuwałam bolącą ranę w sercu, jakby to wszystko stało się wczoraj. Poczucie pustki najpierw opanowało rozum, zostawiając po sobie trudny do okiełznania ból. Następnie udręczenie zaczęło atakować każdy miesiąc

mojego wątłego ciała i doprowadziło do tego, że nawet najmniejsza czynność stawała się niemożliwa, bezsensowna. Ale wiedziałam o tym tylko ja. Ukrywałam łzy, rozpacz i własną niemoc przed całym światem. Nie chciałam prowokować wielu zbędnych komentarzy matki, dlatego milczałam. Byłyśmy sobie bliskie i zarazem tak bardzo dalekie. Każdego dnia życie nas poróżniało. Oddalało od siebie, jakbyśmy były dwoma różnoimiennymi biegunami.

*Nadszedł czas, by coś powiedzieć* — pomyślałam, wykonując dwa kroki w przód, by dłoń matki przestała mnie dotykać. Dołożyłam dodatkowe dwa kroki i odwróciłam się, odważnie patrząc na jej twarz i szeroko otwarte oczy.

— Ten dom... — zaczęłam mówić z mocno bijącym sercem — to zwykły dom dla próżnych ludzi — burknęłam, zaciskając usta w wąską kreskę.

Nie było mi przykro, że uraziłam matkę, a może nawet Piotra, do którego ta opinia trafi przez Alicję jeszcze dzisiaj. Partner matki mnie nie obchodził, nie istniał dla mnie. Wiedziałam, że nigdy go nie polubię za ten przekłęty moment, w którym zawrócił jej w głowie. Dlatego obiecałam sobie nie mieć oporów przed wyrażeniem prawdy na dany temat. Być może lekko przesadziłam, określając „próżnymi” ludzi mieszkających w ładnych domach. Nigdy nie chciałam oceniać człowieka po etykiecie, tylko po tym, co sobą prezentował. Nie mogłam

jednak odmówić sobie przyjemności zdenerwowania matki. Widok jej zmarszczonych brwi i zamglonych od łez oczu był w pewnym stopniu zbawienny. Był drobnym ukojeniem dla mojej cierpiącej duszy. Gdyby kazano mi przyrównać uczucie, które teraz odczuwałam, do ciała stałego, porównałabym je do oparzonej nogi, której ból próbowano ugasić małym kawałkiem lodu. Kostka lodu byłaby jedynie muśnięciem zimna, ale nie przyniosłaby upragnionej ulgi. Potrzebowałabym dwóch wiader z lodem, żeby coś poczuć... Minimum.

Kiedy Alicja i Piotr zaczęli wносить podręczne bagaże z osobistymi rzeczami, zabrałam niewielką torbę i udałam się do nowego pokoju. Szłam niepewnym krokiem, rozmyślając o tym, co zobaczę za zamkniętymi drzwiami.

Elegancki dom, w którym teraz będę mieszkać, był spełnieniem moich dziecięcych fantazji. Ileś lat wstecz rozpierałaby mnie duma, ale teraz... Postanowiłam traktować to miejsce jak tymczasowe schronienie do czasu pójścia na studia.

Stałam przed białymi drzwiami i powoli zacisnęłam dłoń na srebrnej klamce. Delikatnie ją nacisnęłam i... pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to podwójne łóżko starannie zasłane nakryciem w małe kwiatki. Taki sam motyw ozdobił firanki otulające okno, przez które usłyszałam szum morza. Zadrżałam mimowolnie i omiotłam uważnym spojrzeniem każdą część pokoju,

który wydawał się trzy razy większy od naszego salonu w Krakowie.

Było tu o wiele ładniej, niż mogłam sobie wymarzyć. Przy ścianie naprzeciw łóżka stały białe pianino i biurko, a na nim leżał biały laptop. Obok drzwi, wciśnięta w kąt, ujrzałam narożną, pustą biblioteczkę, a obok niej małą toaletkę ze żłobieniami.

— Masz piękny pokój. Zasłużyłaś na niego — odezwała się matka, która nagle pojawiła się obok. — Coś ci pokażę — wyszeptała, podążając w stronę okna. Stanęła przy nim, wykonała dwa kroki w prawą stronę i zniknęła. Za chwilę pojawiła się ponownie. — Trzeba tu podejść, by zobaczyć ten wąski korytarzyk prowadzący do twojej własnej garderoby — zaanonsowała miękkim tonem.

Nie potrafiłam wykrzesać chociażby iskry delikatnego uśmiechu, wiedząc, że matka mnie obserwuje. Nie mogłam jej pokazać, jak wielką radość sprawił mi nowoczesny pokój.

*Wolałabym go nie mieć, gdyby to zwróciło tacie życie* — pomyślałam i cierpko powiedziałam:

— Boli mnie głowa. Chcę zostać sama.

Mama spojrzała na mnie z litością, skinęła głową i opuściła pokój, zamykając za sobą drzwi. Nie wiedziała, że kłamie. Nie lubiłam tego robić, ale musiałam. Chciałam uprzykrzyć moim współlokatorom życie, by poczuli ból. Mama zadała potężny cios tacie, odchodząc

od niego. Później domagała się szybkiego rozwodu, by móc oficjalnie być z Piotrem. Zraniła ojca, więc ja zranię ich. Dla taty...

*Skoro wszyscy chcą radykalnych zmian, to je dostaną* — obiecałam sobie w myślach.

Tej nocy szeroko otworzyłam okno, by rozkoszować się zapachem morskiej bryzy. Po raz pierwszy pozwoliłam sobie na przerwanie wieczornej ciszy delikatnym szumem morza niesionym przez wiatr. Te dźwięki otułały mnie niczym muzyka. Brakowało mi muzyki i gry, ale coś sobie obiecałam: skoro los postanowił odebrać mi ojca, ja postanowiłam przestać grać. Pragnęłam trzymać się reguł ciszy, którą coraz bardziej zaczęłam rozumieć i doceniać. Coraz częściej milczałam, by nie zakłócać melodii bezgłosu. Cisza była tą odmianą muzyki, którą najtrudniej zrozumieć i pokochać.

Jeszcze raz spojrzałam na wieczorne niebo i poprosiłam cichym, odrobinę zawstydzonym tonem:

— Spraw, aby moje życie uległo zmianie. Mam dosyć zadowalania innych własnym kosztem. Teraz chcę zacząć żyć po swojemu. Jeśli mnie słyszysz... Tato...

Odpowiedział mi okrzyk mewy gdzieś w oddali i szum kołysanych wiatrem fal. Zamknęłam okno i wślizgnęłam się pod kołdrę.